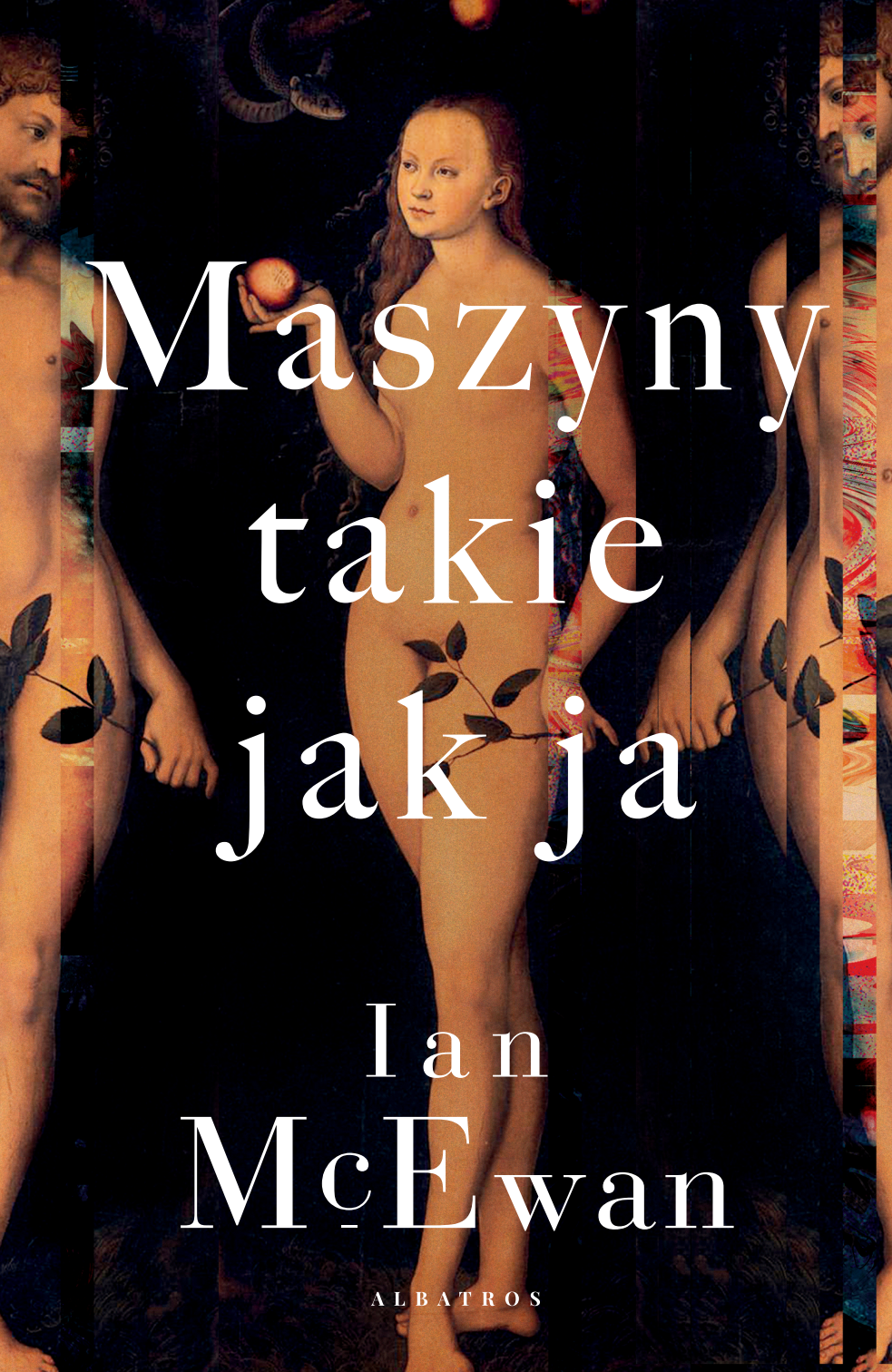

# Maszyny takie jak ja

Ian McEwan

ALBATROS

# Jeden

Była to nadzieja zrodzona z religijnej tęsknoty, prawdziwy Święty Graal nauki. Nasze ambicje były niebosiężne i przyziemne – chodziło o potwierdzenie mitu stworzenia i o monstrualny akt miłości własnej. Kiedy tylko stało się to możliwe, nie mieliśmy innego wyjścia: musieliśmy zrealizować nasze marzenia i ponieść wszystkie tego konsekwencje. Mówiąc górnolotnie, chcieliśmy uciec przed własną śmiertelnością, stawić czoło boskości albo nawet zastąpić ją idealną jaźnią. W bardziej praktycznym wymiarze mieliśmy zamiar stworzyć ulepszoną, nowocześniejszą wersję samych siebie i pogratulować sobie własnej wynalazczości i maestrii. Ziściło się to ostatecznie w jesieni dwudziestego wieku: postawiono wtedy pierwszy krok na drodze ku spełnieniu się dawnego marzenia, zaczęła się długa lekcja, w trakcie której przekonaliśmy się, że niezależnie od tego, jak bardzo jesteśmy skomplikowani, jak bardzo zawodni i trudni do opisania nawet w najprostszych działaniach i trybach istnienia, można nas skopiować i ulepszyć. A ja, jako młody człowiek, jeden z pierwszych gorliwych entuzjastów, byłem tam u samego zarania.

Ale stereotypowe wyobrażenie sztucznych ludzi istniało na długo, nim się pojawili, więc kiedy do tego doszło, sprawili niektórym zawód. Wyobraźnia, bardziej lotna aniżeli historia i postęp technologiczny, przerobiła już tę przyszłość w książkach, a potem w filmach i programach telewizyjnych, zupełnie jakby ludzcy aktorzy, którzy paradowali ze specyficznym szklistym spojrzeniem, sztucznymi ruchami głowy i sztywnością w dolnych partiach kręgosłupa, mogli nas przygotować do współistnienia z naszymi kuzynami z przyszłości.

Należałem do optymistów i po śmierci matki oraz sprzedaży rodzinnego domu, który jak się okazało, stał na terenie atrakcyjnym dla deweloperów, dysponowałem akurat znacznymi środkami. Pierwszy naprawdę udany sztuczny człowiek z przekonującą inteligencją i wyglądem, z wiarygodnymi ruchami i zmienną ekspresją twarzy, trafił do sprzedaży na tydzień przed wypłynięciem Falklandzkiego Korpusu Ekspedycyjnego w jego beznadziejną misję. Adam kosztował osiemdziesiąt sześć tysięcy funtów. Przywiozłem go wynajętą furgonetką do mojego obskurnego mieszkania w północnym Clapham. Podjąłem lekkomyślną decyzję, ale zachęciły mnie doniesienia, że taki sam model nabył sir Alan Turing, bohater wojenny i największy geniusz epoki cyfrowej. Chciał pewnie rozebrać go na czynniki pierwsze w swoim laboratorium i zbadać dokładnie jego działanie.

Dwanaście egzemplarzy tej pierwszej edycji otrzymało imię Adam, trzynaście – Ewa. Oklepane, zgodzili się wszyscy, ale komercyjnie trafione. Po zdyskredytowaniu przez naukę kategorii rasy biologicznej dwadzieścia pięć egzemplarzy zaprojektowano tak, by reprezentowały najróżniejsze grupy etniczne. Pojawiły się plotki, a następnie zarzuty, że nie sposób odróżnić Araba od Żyda. Programowanie

losowe, a także przewidywana długość życia zapewniały wszystkim całkowitą swobodę preferencji seksualnych. Pod koniec pierwszego tygodnia sprzedały się wszystkie Ewy. Mojego Adama mógłbym na pierwszy rzut oka wziąć za Turka albo Greka. Ważył siedemdziesiąt siedem kilogramów, musiałem więc poprosić sąsiadkę z góry, Mirandę, o pomoc przy wniesieniu go z ulicy na jednorazowego użytku noszach, które dołączono do zakupu.

Kiedy zaczęły się ładować jego akumulatory, zrobiłem nam kawę, a następnie przekartkowałem liczącą czterysta siedemdziesiąt stron instrukcję obsługi. Napisana była przeważnie klarownym i precyzyjnym językiem, ale w projektowaniu Adama brały udział różne agencje i tekst miał chwilami urok purnonsensowego wiersza. „Aby zredukować półcień zmiany nastroju, ukryj wątek B347k i uzyskaj beztroski emotikon na wyjściu płyty głównej".

W końcu, ze stopami w strzępach tektury i folii, z zamkniętymi oczami oraz czarnym kablem, biegnącym od wtyczki w pępku do trzynastoamperowego gniazdka w ścianie, zasiadł nagi przy moim malutkim stole w kuchni. Uruchomienie go miało zająć szesnaście godzin. A potem jeszcze aktualizacja danych i ustalanie osobistych preferencji. Podobnie jak Miranda chciałem go mieć już teraz. Niczym młodzi przejęci rodzice pragnęliśmy usłyszeć jego pierwsze słowa. Nie miał zamontowanego w klatce piersiowej taniego głośnika. Z medialnych doniesień wiedziałem, że formułuje dźwięki za pomocą oddechu, języka, zębów i podniebienia. Jego skóra już teraz była ciepła w dotyku i gładka jak u dziecka. Miranda stwierdziła, że zatrzepotał rzęsami. Ja byłem przekonany, że był to skutek wibracji wywołanych przez przejeżdżające trzydzieści metrów niżej pociągi metra, ale nic nie powiedziałem.

Adam nie był seksualną zabawką. Mógł jednak uprawiać seks i posiadał funkcjonalne błony śluzowe, na które, by utrzymać je w stanie sprawności, zużywał dziennie pół litra wody. Kiedy siedział przy stole, zauważyłem, że jest nieobrzezany, nieźle wyposażony i ma dość bujne ciemne włosy łonowe. Ten wysoko zaawansowany model sztucznego człowieka miał chyba odzwierciedlać apetyty jego młodych twórców kodu. Adamowie i Ewy, zakładano, będą pełni ikry.

Reklamowano go jako towarzysza, intelektualnego „sparingpartnera", przyjaciela i powiernika, który mógł zmywać naczynia, słać łóżka i „myśleć". Rejestrował i zachowywał w pamięci każdy moment swojego istnienia, wszystko, co usłyszał i zobaczył. Nie potrafił na razie prowadzić samochodu i nie wolno mu było pływać, brać prysznica, wychodzić bez parasola na deszcz i korzystać bez nadzoru z piły łańcuchowej. Jeśli chodzi o zasięg, dzięki przełomowym odkryciom w magazynowaniu energii mógł na jednym ładowaniu przebiec w dwie godziny siedemnaście kilometrów lub też, zużywając tyle samo energii, konwersować bez przerwy przez dwanaście dni. Jego okres użytkowania wynosił dwadzieścia lat. Masywny i barczysty, miał śniadą cerę, zaczesane do tyłu gęste czarne włosy, pociągłą twarz, znamionujący inteligencję zakrzywiony nos, oczy ze spuszczonymi skromnie powiekami i zaciśnięte wargi, które na naszych oczach traciły swój trupi żółtawobiały odcień, nabierając żywych ludzkich kolorów i być może rozluźniając się nieco w kącikach. Miranda stwierdziła, że przypomina jej „dokera znad Bosforu".

Siedziała przed nami jedyna w swoim rodzaju zabawka, spełniony sen wielu pokoleń, triumf humanizmu – bądź też jego anioł zagłady. Ekscytujący ponad miarę, lecz również frustrujący. Trudno było czekać i gapić się na niego przez

szesnaście godzin. Przyszło mi do głowy, że za kwotę, którą wpłaciłem po lunchu, Adam powinien być naładowany i gotów do użycia. Było późne zimowe popołudnie. Zrobiłem grzankę i wypiliśmy kolejną kawę. Miranda, pisząca doktorat z historii społecznej, powiedziała, że żałuje, iż nie ma z nami osiemnastoletniej Mary Shelley, która obserwowałaby nie potwora w rodzaju Frankensteina, lecz tego budzącego się do życia przystojnego, śniadego młodego mężczyznę. Odparłem, że tym, co łączy te dwie istoty, jest głód ożywczej elektryczności.

– Nas też on łączy. – Powiedziała to, jakby miała na myśli tylko siebie i mnie, a nie całą elektrochemicznie naładowaną ludzkość.

Miała dwadzieścia dwa lata, dziesięć lat mniej ode mnie, i jak na swój wiek robiła wrażenie dojrzałej. Patrząc z dłuższej perspektywy, można by uznać, że niewiele nas dzieliło. Oboje byliśmy cudownie młodzi. Ja jednak sądziłem, że znajduję się na innym życiowym etapie. Tradycyjną edukację miałem już dawno za sobą. Doznałem w życiu całego szeregu zawodowych, finansowych i osobistych porażek i uważałem się za kogoś zbyt zgorzkniałego i cynicznego dla uroczej młodej kobiety w rodzaju Mirandy. I chociaż była piękna, z jasnobrązowymi włosami, pociągłą szczupłą twarzą i oczami, w których często migotało tłumione rozbawienie, i choć w pewnym stanie ducha wpatrywałem się w nią z zachwytem, dość wcześnie postanowiłem obsadzić ją wyłącznie w roli miłej sąsiadki. Dzieliliśmy hol wejściowy, a jej niewielkie mieszkanko znajdowało się dokładnie nad moim. Co jakiś czas spotykaliśmy się na kawie, by pogadać o znajomych, polityce i innych sprawach. Ze swoim niemal idealnie neutralnym podejściem, Miranda sprawiała wrażenie otwartej na różne możliwości. Zdawało się, że popołu-

dnie spędzone na intymnych igraszkach nie różniłoby się dla niej wiele od niewinnej przyjacielskiej pogawędki. Czuła się swobodnie w moim towarzystwie i wolałem sądzić, że seks tylko wszystko by zepsuł. Pozostawaliśmy dobrymi kumplami. Ale było w niej coś urzekająco tajemniczego albo powściągliwego. Być może, sam o tym nie wiedząc, od miesięcy byłem w niej zakochany. Sam o tym nie wiedząc? Cóż za tandetne sformułowanie!

Niechętnie uzgodniliśmy, że na jakiś czas rozstaniemy się z Adamem i ze sobą wzajemnie. Miranda musiała jechać na seminarium po północnej stronie Tamizy, ja miałem do napisania maile. Na początku lat siedemdziesiątych komunikacja cyfrowa straciła swój urok przydatnego udogodnienia i stała się codziennym mozolnym obowiązkiem. Podobnie jak pędzące z szybkością czterystu kilometrów na godzinę pociągi – zatłoczone i brudne. Korzyści, jakie dawały programy rozpoznawania mowy, cud lat pięćdziesiątych, dawno temu zmieniły się w żmudną harówkę: miliony ludzi spędzały długie godziny na samotnych monologach. Interfejsy łączące umysł z maszyną, szalony owoc optymizmu lat sześćdziesiątych, nie wzbudzały większego zainteresowania dzieci. To, za czym ludzie czekali w kolejkach przez cały weekend, sześć miesięcy później traciło cały swój powab, stawało się równie nudne jak skarpetki na stopach. Co się stało ze wspomagającymi funkcje poznawcze hełmami i mówiącymi lodówkami wyposażonymi w zmysł węchu? Odeszły w przeszłość razem z podkładkami pod myszy, filofaxem, elektrycznymi nożami do krojenia i zestawami do fondue. Do drzwi wciąż pukała przyszłość. Nasze lśniące nowe zabawki zaczynały rdzewieć, zanim jeszcze przynieśliśmy je do domu, a życie toczyło się w zasadzie tak samo jak dawniej.

Czy Adam mógł się znudzić? Niełatwo jest dyktować i jednocześnie próbować się pozbyć typowych wątpliwości nabywcy. To jasne, inni ludzie, inne umysły nadal muszą nas fascynować. A kiedy sztuczni ludzie bardziej się do nas upodobnią, potem staną się nami i w końcu nas prześcigną, być może nigdy nam się nie znudzą. Stale będą nas zaskakiwać. Mogą nas zawieść w sposób, którego nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Możliwa jest tragedia, lecz nie nuda.

W tym momencie najmniej uśmiechała mi się perspektywa lektury instrukcji. Hołdowałem zasadzie, że nie warto zawracać sobie głowy żadnym urządzeniem, które poprzez samo swoje funkcjonowanie nie wskazuje, jak powinno być użytkowane. Wiedziony staroświeckim impulsem, wydrukowałem instrukcję użytkownika i poszukałem dla niej segregatora. Przez cały czas dyktowałem jednocześnie maile.

Nie bardzo widziałem się w roli „użytkownika" Adama. Zakładałem, że nie nauczę się o nim niczego, czego sam nie mógłby mi powiedzieć. Segregator w moich rękach otworzył się przypadkiem na rozdziale czternastym instrukcji. Tutaj angielszczyzna była zrozumiała: preferencje, parametry osobowości. I zestaw tytułów: Ugodowość. Ekstrawertyzm. Otwartość na doświadczenie. Sumienność. Stabilność emocjonalna. Ta lista była mi znana. Oparto ją na pięcioczynnikowym modelu osobowości. Przy moim humanistycznym wykształceniu traktowałem tego rodzaju upraszczające kategorie z pewną podejrzliwością, ale wiedziałem od znajomego psychologa, że każda z nich ma wiele podgrup. Zerkając na następną stronę, zobaczyłem, że mam wybrać różne ustawienia w skali od jednego do dziesięciu.

Spodziewałem się przyjaciela. Byłem gotów potraktować Adama jako gościa w moim domu, nieznajomego, którego będę poznawał. Myślałem, że będzie optymalnie dostoso-

wany. Ustawienia fabryczne – współczesny synonim losu. Przyjaciele, znajomi i rodzina – wszyscy pojawili się w moim życiu z gotowymi ustawieniami, z niedającą się zmienić historią genów i środowiska. Chciałem, by tak samo wyglądało to w przypadku mojego kosztownego nowego przyjaciela. Dlaczego zostawili to mnie? Oczywiście znałem odpowiedź. Nie wszyscy jesteśmy optymalnie ustawieni. Łagodny Jezus? Skromny Darwin? Tylko raz na tysiąc osiemset lat. Ciesząca się nienaganną opinią światowa korporacja nie mogła ryzykować blamażu, nawet gdyby wiedziała – a było to przecież niemożliwe – jakie są najlepsze czy choćby najmniej szkodliwe parametry osobowości. Sprzedający nie odpowiada za wady ukryte.

Bóg dostarczył kiedyś oryginalnemu Adamowi w pełni ukształtowaną towarzyszkę. Ja musiałem sam sobie wymyślić towarzysza. Oto była Ekstrawertyczność z całym wachlarzem opisanych dziecinnym językiem opcji. „Uwielbia być duszą towarzystwa. Wie, jak rozbawić ludzi i jak ich prowadzić". A na samym dole: „Czuje się nieswojo w obecności innych". Oraz: „Preferuje swoje własne towarzystwo". Za to pośrodku: „Lubi się zabawić, ale zawsze chętnie wraca do domu". To akurat byłem ja. Ale czy powinienem się replikować? Jeśli wybiorę środkową pozycję z każdej skali, mogę dostać w rezultacie kwintesencję nijakości. Na skali Ekstrawertyczności znajdowały się również jej antonimy. Długiej liście przymiotników towarzyszyły okienka, które można było zakreślić: otwarty, nieśmiały, pobudliwy, rozmowny, wycofany, chełpliwy, skromny, śmiały, energiczny, humorzasty. Nie chciałem żadnej z tych cech ani dla niego, ani dla siebie.

Nie licząc chwil, gdy podejmowałem swoje zwariowane decyzje, większość życia, zwłaszcza gdy byłem sam, przeży-

łem w stanie emocjonalnej neutralności, z osobowością, jakakolwiek ona była, pozostającą w zawieszeniu. Ani śmiały, ani wycofany. Po prostu obecny: ani zadowolony z siebie, ani ponury, ale wykonujący różne zadania, myślący o obiedzie lub seksie, wpatrujący się w ekran, biorący prysznic. Sporadycznie żałujący czegoś z przeszłości, rzadko miewający złe przeczucia co do przyszłości, niezwracający większej uwagi, poza oczywistymi wrażeniami zmysłowymi, na teraźniejszość. Psychologia, która kiedyś skupiała się na trylionach sposobów, w jakie można dostać kręćka, obecnie zajmowała się tym, co uważała za powszechnie typowe emocje, od smutku po radość. Pomijała jednak szeroką domenę codziennej egzystencji: z wyłączeniem chorób, głodu, wojny i innych stresów, sporo życia przeżywa się w strefie neutralnej, w znajomym, lecz szarym ogrodzie, nijakim, trudnym do opisania, natychmiast zapominanym.

Nie miałem wtedy pojęcia, że w gruncie rzeczy wybór tych różnych opcji będzie miał dla Adama nieduże znaczenie. Realnym czynnikiem determinującym miało być to, co nazywano uczeniem maszynowym. Instrukcja użytkownika oferowała jedynie złudzenie kontroli i wpływu, podobną iluzję, jaką rodzice żywią w stosunku do swoich dzieci. Próbowano mnie w ten sposób związać z nabytym produktem i zapewnić ochronę prawną producentowi. „Nie spiesz się – zalecano w instrukcji. – Dokonaj uważnego wyboru. Jeśli to konieczne, daj sobie na to kilka tygodni".

Dopiero po kolejnej półgodzinie sprawdziłem go ponownie. Bez zmian. Nadal przy stole, z rękami wysuniętymi prosto przed siebie i zamkniętymi oczami. Wydawało mi się jednak, że jego włosy, w kolorze najgłębszej czerni, wzburzyły się lekko i nabrały połysku, zupełnie jakby wziął przed chwilą prysznic. Chociaż nie oddychał, po lewej stronie klat-

ki piersiowej z satysfakcją zauważyłem regularny puls, miarowy i spokojny, na moje niewprawne oko mniej więcej raz na sekundę. Jakie to krzepiące. Nie musiał pompować krwi do organizmu, lecz ta symulacja budziła podziw. Moje wątpliwości nieco się rozwiały. Choć wiedziałem, że to absurd, poczułem, że muszę chronić Adama. Położyłem mu dłoń na sercu i wyczułem spokojny, jambiczny rytm. Miałem wrażenie, że naruszam jego prywatną przestrzeń. Łatwo było uwierzyć w te oznaki życia. Ciepła skóra, ustępujące pod naciskiem twarde mięśnie – rozum mówił mi, że to plastik lub coś podobnego, lecz dotyk stwierdzał, że to ludzkie ciało.

Niesamowite było stać przy tym nagim mężczyźnie i przeżywać rozdźwięk między tym, co było mi wiadome, a tym, co czułem. Obszedłem go i stanąłem z tyłu, częściowo po to, by znaleźć się poza zasięgiem jego oczu, które mogły się w każdej chwili otworzyć i odkryć, że się nad nim pochylam. Miał umięśnione plecy i kark, pokryte cienkimi włoskami ramiona i dołeczki nad pośladkami. A niżej muskularne łydki sportowca. Nie prosiłem o supermena. Po raz kolejny zrobiło mi się żal, że nie zdążyłem nabyć Ewy.

Wychodząc z kuchni, przystanąłem, by się obejrzeć, i była to jedna z tych chwil, które mogą człowiekowi wywrócić do góry nogami życie emocjonalne: zaskakujące uświadomienie sobie tego, co oczywiste, absurdalny błysk olśnienia, choć wiedziało się o tym wcześniej. Stałem z ręką na klamce. Musiała to sprawić nagość i fizyczna obecność Adama, ale nie patrzyłem na niego. Patrzyłem na stojącą na stole maselniczkę. A także na dwa talerzyki, dwie filiżanki, dwa noże i dwie łyżeczki. Pozostałości mojego długiego popołudnia z Mirandą. Dwa drewniane krzesła były odsunięte od stołu, zwrócone przyjacielsko ku sobie.

W minionym miesiącu zbliżyliśmy się do siebie. Miło nam się ze sobą rozmawiało. Zdałem sobie nagle sprawę, jak wiele dla mnie znaczy i jak łatwo mogę ją stracić. Powinienem się już do tej pory w pewien sposób zadeklarować. Uważałem jej obecność za coś oczywistego. Tymczasem mogło nas rozdzielić jakieś niefortunne zdarzenie, jakaś osoba, inny doktorant. Jej twarz, jej głos, jej styl bycia, jednocześnie powściągliwy i trzeźwy – to wszystko stało mi się nagle bardzo bliskie. Jej dłoń w mojej dłoni, te jej nagłe zamyślenia i chwile zmieszania. Tak, bardzo się do siebie zbliżyliśmy, a ja nie zauważyłem, jak to się stało. Byłem idiotą. Musiałem jej powiedzieć, co czuję.

Wróciłem do swojego gabinetu, który służył mi również za sypialnię. Między biurkiem a łóżkiem było akurat dość miejsca, by przejść się tam i z powrotem. To, że Miranda nie wiedziała nic o moich uczuciach, stało się teraz powodem mego niepokoju. Zadeklarowanie ich mogło się okazać krępujące, niebezpieczne. Była sąsiadką, przyjaciółką, kimś w rodzaju siostry. Otwierałbym się przed osobą, której do końca nie znałem. A ona byłaby zmuszona wyjść zza parawanu lub ściągnąć z twarzy maskę i zwrócić się do mnie w słowach, których dotąd od niej nie słyszałem. „Tak mi przykro… bardzo cię lubię, ale widzisz…" Mogłaby też być przerażona. Albo, czego nie można było wykluczyć, nie posiadać się z radości, słysząc to, o czym marzyła, lecz bała się powiedzieć sama, w obawie przed odrzuceniem.

Przypadkowo oboje byliśmy w tym momencie wolni. Na pewno o tym myślała, myślała o nas. To nie była nierealna fantazja. Musiałem jej się zwierzyć. To było nie do zniesienia. I nie do uniknięcia. I tak to się toczyło, w nawracających cyklach. Zniecierpliwiony, zajrzałem do kuchni. Podchodząc do lodówki, w której miałem pół butelki białego bordeaux,

nie zauważyłem w Adamie żadnej zmiany. Usiadłem naprzeciwko niego i uniosłem kieliszek. Za miłość. Tym razem nie obserwowałem go z taką czułością. Widziałem w nim to, czym był naprawdę: nieożywionym produktem, którego tętno jest regularnym wyładowaniem elektrycznym, a ciepło skóry wynikiem reakcji chemicznych. Po uruchomieniu jakiś rodzaj mikroskopijnego kółka balansowego otworzy mu oczy. Będzie się zdawało, że mnie widzi, ale tak naprawdę będzie ślepy. A nawet nie ślepy. Kiedy się aktywuje, jakiś inny system zacznie wykonywać coś, co przypomina oddech, lecz nie życie. Mężczyzna, który właśnie się zakochał, wie, czym jest życie.

Za otrzymany spadek mogłem kupić jakąś nieruchomość na północ od Tamizy, w Notting Hill albo w Chelsea. Miranda mogłaby nawet tam ze mną zamieszkać. Miałaby dość miejsca na te wszystkie książki, które trzymała w kartonach, w garażu swojego ojca w Salisbury. Ujrzałem przyszłość bez Adama, przyszłość, która aż do wczorajszego dnia była moim udziałem: miejski ogródek, wysoki sufit z gipsową sztukaterią, kuchnia ze stali nierdzewnej, starzy znajomi na kolacji. Wszędzie książki. Co robić? Mogłem odwieźć go z powrotem albo odsprzedać z niewielką stratą przez internet. Zmierzyłem go wrogim spojrzeniem. Jastrzębią twarz miał zwróconą w stronę rozłożonych na stole dłoni. Ta moja głupia fascynacja technologią! Kolejny zestaw do fondue. Lepiej odejść od stołu, zanim stracę fortunę, waląc go raz a dobrze w łeb starym młotkiem mojego ojca.

Wypiłem nie więcej niż pół kieliszka, po czym wróciłem do sypialni, by śledzić transakcje na azjatyckich rynkach walutowych. Przez cały czas nasłuchiwałem kroków w mieszkaniu piętro wyżej. A późnym wieczorem obejrzałem telewizyjne relacje na temat Korpusu Ekspedycyjne-

go, który już wkrótce miał przepłynąć trzynaście tysięcy kilometrów, by odbić wyspy, które nazywaliśmy wtedy Falklandami.

* * *

W wieku trzydziestu dwóch lat byłem całkowicie spłukany. Roztrwonienie spadku po matce na mrzonki stanowiło tylko część mojego problemu – ale dość typową. Za każdym razem, gdy wpadały mi w ręce jakieś pieniądze, traciłem je, paliłem na magicznym stosie, wpychałem do cylindra i wyciągałem z niego królika. Często, choć akurat nie w tym ostatnim przypadku, moim celem było łatwe pomnożenie zainwestowanej sumy. Padałem ofiarą wyszukanych projektów, nie do końca legalnych kombinacji i podstępnych szwindli. Lubiłem wielkopańskie i szerokie gesty. Inni pozwalali sobie na nie i kwitli. Pożyczali pieniądze, robili z nich interesujący użytek i bogacili się nawet po spłacie długów. Lub też, podobnie jak ja kiedyś, mieli jakąś pracę, jakieś stanowisko, i bogacili się skromniej, w stabilnym tempie. Tymczasem ja wylewarowałem się, a może raczej sprowadziłem swoją pozycję do zawilgoconego dwuizbowego mieszkanka na parterze jednego z nudnych edwardiańskich szeregowców między Stockwell a Clapham, na południu Londynu.

Dorastałem w wiosce niedaleko Stratfordu, w Warwickshire, jako jedyne dziecko ojca muzyka i matki pielęgniarki społecznej. W porównaniu z dzieciństwem Mirandy moje było kulturalną pustynią. Brakowało w nim czasu i miejsca na książki, a nawet na muzykę. Od najmłodszych lat interesowałem się elektroniką, lecz w końcu zrobiłem dyplom z antropologii na niezbyt prestiżowej uczelni w środkowej Anglii. Poszedłem potem na prawo i po zdaniu egzaminów wybrałem specjalizację podatkową. Tydzień po moich

dwudziestych dziewiątych urodzinach pozbawiono mnie prawa wykonywania zawodu i o mało nie wylądowałem za kratkami. Sto godzin prac społecznych przekonało mnie, że nie powinienem nigdy więcej pracować na etacie. Zarobiłem trochę pieniędzy, pisząc ekspresowo książkę o sztucznej inteligencji; wydałem je na poroniony projekt przedłużających życie pigułek. Zarobiłem sporo dzięki transakcji na rynku nieruchomości; straciłem zysk na projekcie wynajmu samochodów. Trochę kasy zostawił mi mój ulubiony wujek, który dorobił się na patencie pompy cieplnej; rozpuściłem to na projekt ubezpieczeń medycznych.

W wieku trzydziestu dwóch lat utrzymywałem się, spekulując na rynku akcji i walut. Kolejne kombinatorstwo, jak tyle innych wcześniej. Przez siedem godzin dziennie ślęczałem przy klawiaturze, kupując, sprzedając, wahając się, w jednej chwili ciesząc się jak dziecko, w następnej przeklinając swój los, przynajmniej z początku. Czytałem raporty giełdowe, ale uważałem, że cały system oparty jest na przypadku, i polegałem głównie na intuicji. Czasami zyskiwałem więcej niż zwykle, czasami traciłem, ale średnio w ciągu roku zarabiałem tyle co listonosz. Starczało mi na czynsz, który w tamtych latach był niski, a także na jedzenie i niezłe ubranie, i zdawało mi się, że osiągam stabilizację i w miarę dobrze znam samego siebie. Zależało mi, żeby ta dekada mojego życia okazała się bardziej udana od poprzedniej.

Jednak zaraz po tym, jak sprzedałem sympatyczny dom rodziców, na rynku pojawiła się pierwsza przekonująca sztuczna osoba. Rok 1982. Zawsze, a szczególnie po zebraniu materiałów do swojej książki, pasjonowałem się robotami, androidami i replikantami. Ceny powinny sukcesywnie spadać, lecz ja musiałem mieć jednego z nich od razu, najle-

piej Ewę, w ostateczności Adama.

A przecież wszystko mogło się potoczyć inaczej. Moja poprzednia dziewczyna, Claire, była rozsądną osobą, która szkoliła się na pielęgniarkę stomatologiczną. Pracowała w gabinecie przy Harley Street i na pewno wyperswadowałaby mi kupno Adama. Była kobietą twardo stąpającą po ziemi. Wiedziała, jak urządzić życie sobie i innym. Niestety, podpadłem jej, dopuszczając się aktu niezaprzeczalnej zdrady. Wyrzekła się mnie w scenie królewskiej furii, a na koniec wyrzuciła moje ubrania na ulicę. Iście filmowa scena. Nigdy potem już się do mnie nie odezwała i zajmowała jedno z pierwszych miejsc na liście moich błędów i porażek. A mogła mnie uratować przede mną samym.

Ale. Żeby nie być jednostronnym, pozwólmy przemówić temu nieuratowanemu „ja". Kupiłem Adama nie po to, by na nim zarobić. Bynajmniej. Moje intencje były czyste. Wydałem fortunę, by zaspokoić ciekawość, tę niezachwianą siłę napędzającą naukę, życie intelektualne, samo życie. To nie była chwilowa fanaberia. To było konto z długą historią, lokata terminowa, z której miałem prawo czerpać. Elektronika i antropologia – dalecy kuzyni, których najnowsze czasy zbliżyły i zeswatały. Dzieckiem tej pary był Adam.

Staję więc teraz przed wami jako świadek obrony: po lekcjach, o piątej po południu, typowy okaz z moich czasów – jedenaście lat, krótkie spodenki, poobijane kolana, piegi, wystrzyżony z tyłu i po bokach. Czekam przed drzwiami pracowni, aż zaczną się zajęcia Klubu Instalatorów. Prowadzi je pan Cox, łagodny olbrzym z marchewkowatymi włosami, który uczy fizyki. Mam zbudować radio. To akt wiary, przedłużona modlitwa, która zajęła mi wiele tygodni. Mam kawałek dykty, piętnaście na dwadzieścia centymetrów, łatwy do nawiercania. Najważniejsze są kolory. Niebieskie,

czerwone, żółte i białe kable biegną wzdłuż dykty, skręcają pod kątem prostym i znikają, by pojawić się w innym miejscu i połączyć z niedużymi jasnymi cylindrami – kondensatorami i opornikami – następnie z cewką indukcyjną, którą sam nawinąłem, i wzmacniaczem. Nic z tego nie rozumiem. Wykonuję wszystko według schematu, tak jak kleryk mógłby mamrotać słowa Pisma. Pan Cox udziela mi półgłosem rad. Niezgrabnie przylutowuję jeden drut do drugiego. Dym i zapach cyny są niczym wdychany głęboko do płuc narkotyk. Dołączam do mojego obwodu bakelitowy dwustabilny przełącznik, pochodzący, w co chciałbym wierzyć, z jakiegoś myśliwca, najpewniej ze spitfire'a. Ostatni przewód, który podłączam, trzy miesiące po rozpoczęciu pracy, biegnie od kawałka tego ciemnobrązowego plastiku do dziewięciowoltowej baterii.

Jest chłodny marcowy zmierzch. Inni chłopcy zajmują się swoimi projektami. Jesteśmy dwadzieścia kilometrów od rodzinnego miasta Szekspira, w przybytku, który zyska nazwę „substandardowej" rejonowej szkoły średniej. Tak naprawdę we wspaniałym miejscu. Zapalają się jarzeniówki pod sufitem. Pan Cox stoi w drugim końcu pracowni, odwrócony do mnie plecami. Nie chcę ściągać na siebie jego uwagi, w razie gdyby próba zakończyła się niepowodzeniem. Wciskam przełącznik i – cud – rozlega się szum statycznej elektryczności. Przesuwam kondensator strojeniowy i słyszę muzykę, moim zdaniem straszną, bo w orkiestrze grają skrzypce. A potem słychać szybki głos kobiety, niemówiącej po angielsku.

Nikt nie podnosi wzroku, nikt nie wykazuje zainteresowania. Zbudowanie radia nie jest niczym nadzwyczajnym. Lecz mnie z przejęcia zapiera dech w piersi, jestem bliski łez. Żadna technologia nie zrobi na mnie już później takie-

go wrażenia. Prąd płynący przez kawałki metalu, które starannie ze sobą połączyłem, wyłowił z eteru głos siedzącej gdzieś daleko cudzoziemki. Brzmi sympatycznie. Kobieta nie ma pojęcia o moim istnieniu. Nigdy się nie dowiem, jak się nazywa, ani nie zrozumiem jej języka i nigdy jej nie spotkam, w każdym razie świadomie. Moje radio z nieregularnymi kroplami cyny na płycie wydaje się takim samym cudem jak rodząca się w materii świadomość.

Umysł i elektronika są ze sobą ściśle związane, co odkryłem jako nastolatek, budując i programując proste komputery. A potem budując skomplikowane komputery. Elektryczność i kawałki metalu mogły dodawać liczby, tworzyć słowa, obrazy i piosenki, pamiętać różne rzeczy i nawet przetwarzać mowę w pismo.

Kiedy miałem siedemnaście lat, Peter Cox przekonał mnie, bym zaczął studiować fizykę w lokalnym college'u. Po miesiącu byłem znudzony i gotów na zmianę. Przedmiot okazał się zbyt abstrakcyjny, matematyka o wiele dla mnie za trudna. W owym czasie przeczytałem kilka książek i zainteresował mnie świat fikcyjnych postaci. *Paragraf 18* Hellera, *Lotny mój miły** Fitzgeralda, *Ostatni człowiek w Europie* Orwella, *Wszystko dobre, co się dobrze kończy* Tołstoja – na tym w zasadzie skończyłem, ale zrozumiałem, co to jest sztuka. Była rodzajem śledztwa. Nie chciałem jednak studiować literatury – wydawało się to zbyt onieśmielające, zbyt intu-

---

* Patrz motto do *Wielkiego Gatsby'ego* Francisa Scotta Fitzgeralda, w przekładzie Jacka Dehnela, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013: „Gdy ją to wzrusza – noś złotą czapkę, Gdy latać umiesz – to dla niej leć! Aż krzyknie: miły, złotoczapkowy, lotny mój miły, podaj mi łapkę, Muszę cię mieć!". *Lotny mój miły* (w oryginale *High-Bouncing Lover*) – tak pierwotnie miał brzmieć tytuł *Wielkiego Gatsby'ego*. To samo dotyczy tytułów *Paragraf 18*, *Ostatni człowiek w Europie* i *Wszystko dobre, co się dobrze kończy* – w naszym świecie wszystkie są wstępnymi wersjami rozważanymi przez autorów *Paragrafu 22*, *1984* oraz *Wojny i pokoju*.

icyjne. W ulotce, którą znalazłem w uczelnianej bibliotece, reklamowano antropologię jako „naukę o ludziach w ich społeczeństwach w czasie i przestrzeni". Systematyczne studia, z dorzuconym czynnikiem ludzkim. Zapisałem się.

Pierwsza rzecz, o której się rychło przekonałem: mój kurs był żałośnie niedofinansowany. Trudno było marzyć o rocznym wyjeździe na Wyspy Trobriandzkie, gdzie jak czytałem, posilanie się w obecności innych stanowiło tabu. Dobrze wychowany człowiek posilał się w samotności, odwrócony plecami do znajomych i rodziny. Wyspiarze znali zaklęcia, dzięki którym brzydale zmieniali się w pięknisiów. Dzieci aktywnie zachęcano do nawiązywania między sobą relacji seksualnych. Funkcjonującą walutą były pataty. Kobiety określały status mężczyzn. Jakie to dziwne i orzeźwiające. Moje poglądy na temat ludzkiej natury zostały ukształtowane głównie przez białą populację stłoczoną w południowej ćwiartce Anglii. Teraz mogłem się nurzać w bezdennym relatywizmie.

Mając dziewiętnaście lat, napisałem mądry esej o kulturach honoru, zatytułowany „Kajdany nałożone przez umysł?". Beznamiętnie omówiłem tam zebrane przez siebie przypadki. Co ja wtedy wiedziałem i co mi zależało? W pewnych miejscach na kuli ziemskiej gwałt występował tak powszechnie, że nie miał nawet swojej nazwy. Młodemu ojcu podrzynano gardło za opieszałość w kontynuowaniu dawnej waśni. Gdzieś tam mieliśmy do czynienia z rodziną pragnącą zabić córkę za to, że trzymała się publicznie za ręce z chłopakiem z niewłaściwej grupy religijnej. Gdzie indziej starsze kobiety uczestniczyły chętnie w okaleczaniu genitaliów swoich wnuczek. Co z instynktownym macierzyńskim impulsem, by kochać i strzec? Sygnał kulturowy był mocniejszy. Co z wartościami uniwersalnymi? Postawione na

głowie. Nic takiego nie działo się w Stratford-upon-Avon. Chodziło wyłącznie o umysł, tradycję, religię – czyli w zasadzie, myślałem teraz, o software, którego się nie wartościuje.

Antropolodzy niczego nie oceniają. Obserwują i przedstawiają ludzką różnorodność. Celebrują różnice. To, co potępiano w Warwickshire, nie byłoby niczym nadzwyczajnym w Papui-Nowej Gwinei. Kto mógł lokalnie powiedzieć, co jest dobre, a co złe? Na pewno nie kolonialiści. Wyniosłem ze swoich studiów pewne niefortunne wyobrażenia, które kilka lat później zaprowadziły mnie na ławę oskarżonych w sądzie okręgowym. Zarzucano mi, że wraz z innymi osobami spiskowałem w celu oszukania na wielką skalę organów podatkowych. Nie próbowałem przekonać Wysokiego Sądu, że gdzieś daleko, na okolonej palmami kokosowymi plaży, tego rodzaju spisek uznano by za prawy i sprawiedliwy. Opamiętałem się tuż przed wygłoszeniem ostatniego słowa. Zasady moralne są realne, dobro i zło jest zawarte w naturze rzeczy. Nasze postępki muszą być oceniane zgodnie z nimi. Tak właśnie uważałem, zanim namieszała mi w głowie antropologia. Drżącym, niepewnym głosem pokajałem się przed sądem i udało mi się uniknąć wyroku więzienia.

* * *

Kiedy następnego ranka, później niż zwykle, zajrzałem do kuchni, Adam miał otwarte oczy. Były jasnoniebieskie, poprzecinane mikroskopijnymi pionowymi czarnymi pręcikami, a rzęsy – długie i gęste – jak u dziecka. Ale mechanizm mrugania jeszcze się nie uruchomił. Był nastawiony na nieregularne interwały i dostosowany do nastrojów i gestów, ze szczególnym uwzględnieniem działań i wypowiedzi innych. Niechętnie przestudiowałem w nocy instrukcję obsługi. Mechanizm mrugania miał chronić jego

oczy przed przemieszczającymi się w powietrzu obiektami. W tym momencie jego spojrzenie było puste i dlatego pozbawione wszelkiego wyrazu, tak samo bezduszne jak wzrok sklepowego manekina. Jak dotąd nie wykonywał żadnych drobnych ruchów, które charakteryzują ludzką głowę. Gdzie indziej też nie dostrzegłem żadnego języka ciała. Nie znalazłem pulsu na nadgarstku – bicie serca bez tętna. Kiedy uniosłem jego ramię, wydawało się ciężkie: stawiało opór w stawie łokciowym, jakby zaczynało się stężenie pośmiertne.

Odwróciłem się do niego plecami i zrobiłem sobie kawę. Moje myśli zajmowała Miranda. Wszystko się zmieniło. Nic się nie zmieniło. W trakcie prawie bezsennej nocy przypomniałem sobie, że wybiera się do swojego ojca. Po seminarium miała pojechać prosto do Salisbury. Wyobraziłem ją sobie w pociągu odjeżdżającym z dworca Waterloo, jak siedzi z nieprzeczytaną książką na kolanach, patrzy na przesuwający się za szybą krajobraz, unoszące się i opadające linie telefoniczne, i w ogóle o mnie nie myśli. Albo myśli wyłącznie o mnie. Albo o wpatrującym się w nią uporczywie koledze z seminarium.

Obejrzałem wiadomości telewizyjne na telefonie. Jasna mozaika dźwięku i rozmigotanego nadmorskiego światła. Portsmouth. Korpus Ekspedycyjny gotowy do wypłynięcia. Większość narodu była w teatralnym transie, w historycznych kostiumach. Późnośredniowiecznych. Z siedemnastego wieku. Z początków dziewiętnastego. Kryzy, rajtuzy, krynoliny, upudrowane peruki, przepaski na oko, drewniane nogi. Precyzja była niepatriotyczna. Historycznie byliśmy wyjątkowi i nasza flota była skazana na zwycięstwo. Reporterzy z radia i telewizji podbijali bębenka, przypominając, ilu pokonaliśmy przeciwników – Hiszpanów, Holendrów,

Niemców dwukrotnie w ciągu tego stulecia, Francuzów od Azincourt do Waterloo. Nad głowami przeleciały myśliwce. Młody żołnierz w polowym mundurze, świeżo z Sandhurst, opowiadał, mrużąc oczy, o czekających ich zagrożeniach. Jego zwierzchnik mówił o niezłomnej determinacji swoich ludzi. Kiedy góralscy kobziarze pomaszerowali w stronę trapu, serce urosło mi w piersi. Reporter przekazał głos do studia, gdzie zaprezentowano mapy, kierunki spodziewanego natarcia, logistykę, cele i trzeźwe wypowiedzi na rzecz porozumienia. Na rzecz akcji dyplomatycznej. Oraz panią premier w jej eleganckim niebieskim kostiumie, na schodkach Downing Street.

Choć deklarowałem się często jako przeciwnik tej akcji, czułem, jak wypełniają mnie pozytywne emocje. Kochałem swój kraj. Cóż za odważna misja, cóż za szalona odwaga. Trzynaście tysięcy kilometrów. Zacni ludzie, którzy ryzykowali życie. Wziąłem sobie do sypialni drugą kawę, posłałem łóżko, by poczuć się jak w miejscu pracy, i zacząłem sprawdzać tendencje na światowych rynkach. Perspektywa wojny obniżyła indeks FTSE o kolejny procent. Pozostając w patriotycznym nastroju i zakładając, że Argentyńczycy przegrają, kupiłem akcje pamiątkarsko-zabawkarskiej firmy produkującej brytyjskie chorągiewki na patykach przeznaczone do wymachiwania. Zainwestowałem również w dwie firmy importujące szampana i generalnie w znaczny wzrost gospodarczy. Do transportu wojska na południowy Atlantyk zarekwirowano statki marynarki handlowej. Znajomy, który zajmował się zarządzaniem aktywami w City, zdradził mi, że zdaniem jego firmy część tych statków zostanie zatopiona. Dlatego też sensowne wydaje się skracanie pozycji na rynkach ubezpieczycieli i inwestowanie w stocznie południowokoreańskie. Nie podobał mi się

taki cynizm.

Mój kupiony w komisie w Brixton używany stacjonarny komputer pochodził z połowy lat sześćdziesiątych i nie był zbyt szybki. Godzinę trwało, nim nabyłem akcje producenta flag. Poszłoby mi szybciej, gdybym potrafił się skupić. Kiedy nie myślałem o Mirandzie i nie nasłuchiwałem jej kroków w mieszkaniu piętro wyżej, zastanawiałem się nad Adamem: czy w ogóle powinienem był go kupować, czy mam zacząć podejmować decyzje dotyczące jego osobowości. Sprzedając srebro, dumałem nad Adamem. Kupując złoto, znów myślałem o Mirandzie. Siedząc na sedesie, dumałem o frankach szwajcarskich. Przy trzeciej kawie zadałem sobie pytanie, na co może wydać pieniądze zwycięski naród. Na wołowinę. Puby. Telewizory. Obstawiłem wszystkie trzy pozycje i poczułem się kimś szlachetnym, biorącym udział w wojennym wysiłku. Zbliżała się pora lunchu.

Jedząc kanapkę z serem i piklami, siedziałem naprzeciwko Adama. Jakieś kolejne oznaki życia? Na pierwszy rzut oka nie. Spojrzenie, które utkwił gdzieś nad moim lewym ramieniem, było wciąż martwe. Żadnych ruchów. Ale pięć minut później podniosłem przypadkiem wzrok i popatrzyłem na niego w momencie, gdy zaczął oddychać. Z początku usłyszałem szereg szybkich kliknięć, a potem przypominające dźwięk komara brzęczenie, kiedy rozchyliły się jego wargi. Przez pół minuty nic się nie działo, aż wreszcie zadrżał mu podbródek i Adam, łykając pierwszy haust powietrza, wydał z siebie autentyczny odgłos wdechu. Nie potrzebował oczywiście tlenu. Od tej metabolicznej konieczności dzieliły go lata. Pierwszy wydech nie następował tak długo, że przestałem jeść i czekałem w napięciu. W końcu wypuścił powietrze – cicho, przez nozdrza. Wkrótce jego oddech stał się regularny, pierś miarowo unosiła się i opadała. Po ple-

cach przeszły mi ciarki. Ze swoimi martwymi oczami oddychający Adam wyglądał jak żywy trup.

W jak dużym stopniu postrzegamy życie w oczach. Gdyby były zamknięte, pomyślałem, sprawiałby wrażenie mężczyzny pogrążonego w transie. Odłożyłem kanapkę, stanąłem przy nim i z czystej ciekawości przytknąłem dłoń do jego ust. Miał wilgotny, ciepły oddech. Sprytne. W instrukcji przeczytałem, że oddaje mocz raz dziennie, późnym rankiem. Też sprytne. Kiedy chciałem zamknąć jego prawe oko, mój palec wskazujący musnął jego brew. Wzdrygnął się i gwałtownie odsunął ode mnie głowę. Zaskoczony, cofnąłem się i odczekałem dobrą chwilę. Przez jakieś dwadzieścia sekund nic się nie działo, a potem w płynny, bezszelestny sposób, nieskończenie powoli, nachylenie ramion i pozycja głowy wróciły do poprzedniego stanu. Jego rytm oddechu się nie zmienił. Mój wyraźnie przyspieszył, podobnie jak tętno. Stałem może metr od niego, zafascynowany tym, jak ponownie znieruchomiał, niczym z wolna tracący powietrze balon. Postanowiłem nie zamykać mu oczu. Czekając na kolejny ruch z jego strony, usłyszałem kroki Mirandy w mieszkaniu piętro wyżej. Wróciła z Salisbury. Wchodziła do sypialni i z niej wychodziła. Po raz kolejny poczułem niespokojny dreszcz niewyznanej miłości i wtedy właśnie wpadł mi do głowy pewien pomysł.

* * *

Tego popołudnia powinienem zarabiać i tracić pieniądze, siedząc przy komputerze. Zamiast tego obserwowałem z lecącego na dużej wysokości helikoptera, jak pierwsze okręty Korpusu Ekspedycyjnego opływają Portland Bill i mijają Chesil Beach. Same te nazwy zasługiwały na pełny szacunku salut. Jakie to waleczne. Naprzód! – myślałem.

A po chwili: Wracajcie! Wkrótce flota przepłynęła wzdłuż Wybrzeża Jurajskiego, tam gdzie pasły się niegdyś, pożerając olbrzymie paprocie, stada dinozaurów. Nagle znaleźliśmy się na dole, pośród mieszkańców Lyme Regis, którzy zebrali się w The Cobb. Część miała lornetki, a bardzo wielu flagi, o których myślałem, plastikowe na drewnianych patykach. Być może rozdali je członkowie ekipy telewizyjnej. Wywiady ze zwykłymi ludźmi. Nabrzmiałe od emocji głosy ciężko pracujących kobiet. Starzy twardziele, którzy walczyli na Krecie i w Normandii, kiwający głowami i niezdradzający swoich uczuć. Och, jak bardzo chciałem też w to uwierzyć. Ale przecież mogłem! Przez lunetę zamontowaną gdzieś na półwyspie Lizard widać było oddalające się sylwetki okrętów, które przy dźwiękach piosenki schrypniętego Roda Stewarta wychodziły dzielnie na otwarte morze. Starałem się powstrzymać łzy.

Ileż niesamowitych wrażeń w zwykłe powszednie popołudnie. Zupełnie nowa istota przy moim stole, kobieta, którą właśnie pokochałem, dwa metry nad moją głową, i mój kraj toczący staroświecką wojnę. Ale byłem w miarę zdyscyplinowany i obiecałem sobie siedem godzin pracy każdego dnia. Wyłączyłem telewizję i zasiadłem przy komputerze. Czekał na mnie mail od Mirandy, na który liczyłem.

Wiedziałem, że nigdy się nie wzbogacę. Sumy, którymi obracałem, podzielone bezpiecznie na wiele okazji, były nieduże. W ciągu miesiąca zarobiłem sporo na bateriach ze stałym elektrolitem i straciłem niemal tyle samo na metalach ziem rzadkich – głupim skoku w znane. Ale nie musiałem przynajmniej chodzić do biura. To była moja opcja najmniejszego zła w pogoni za wolnością. Pracowałem przez całe popołudnie, walcząc z pokusą zerknięcia na Adama, choć domyślałem się, że musi być już w pełni naładowany. Na-

stępnym krokiem było ściągnięcie najnowszych aktualizacji. A potem te problematyczne preferencje osobiste.

Przed lunchem wysłałem Mirandzie maila z zaproszeniem na wieczór, na kolację. Teraz odpisała mi, że przyjdzie. Lubiła moją kuchnię. W trakcie posiłku oświadczę się jej. Wybiorę z grubsza połowę opcji dotyczących osobowości Adama, a potem dam jej linka i hasło i poproszę, żeby wybrała pozostałe. Nie będę się wtrącał, nie będę nawet chciał wiedzieć, jakie podjęła decyzje. Być może wyobrazi sobie wersję samej siebie: wspaniale. A może mężczyznę swoich marzeń: pouczające. Adam pojawi się w naszym życiu niczym prawdziwa osoba, z nałożonymi warstwami osobowości, które z biegiem czasu, w trakcie zdarzeń i interakcji z różnymi ludźmi, zaczną się ujawniać. W pewnym sensie będzie kimś w rodzaju naszego dziecka. To, czym byliśmy oddzielnie, w nim się połączy. Miranda weźmie udział w tej przygodzie. Staniemy się partnerami, a Adam będzie przedmiotem naszej wspólnej troski, naszym tworem. Staniemy się rodziną. W moim planie nie było żadnego kruczka. Nie miałem wątpliwości, że będę się z nią częściej widywał. Będziemy się świetnie bawili.

Moje projekty na ogół spalały na panewce. Tym razem było inaczej. Podjąłem decyzję na trzeźwo, nie oszukując się. Adam nie był moim miłosnym rywalem. Bez względu na to, jak ją fascynował, jednocześnie budził w niej fizyczny wstręt. Nie kryła tego przede mną. Fakt, że ma ciepłą skórę, stwierdziła, przyprawia ją o dreszcze. „Trochę dziwaczne", uznała, jest to, że tworzy słowa za pomocą języka. Ale jego słownictwo było równie bogate jak Szekspira. To jego umysł wzbudzał jej ciekawość.

Podjęta więc została decyzja, by nie sprzedawać Adama. Miałem dzielić się nim z Mirandą – podobnie jak mógłbym

dzielić z nią dom. Będzie miał nas w sobie. Czyniących postępy, porównujących notatki, wspólnie przeżywających rozczarowania. W wieku trzydziestu dwóch lat uważałem się za starego wygę w kwestiach miłości. Szczere wyznanie mogło ją spłoszyć. O wiele lepiej odbyć tę podróż razem. Już teraz była moją przyjaciółką, czasami trzymała mnie za rękę. Nie startowałem od zera. Głębsze uczucia mogły się w niej zrodzić niepostrzeżenie, tak jak zrodziły się we mnie. Jeśli tak się nie stanie, na pocieszenie będę przynajmniej mógł spędzać z nią więcej czasu.

W swojej przedpotopowej lodówce, której zardzewiałe drzwiczki częściowo się urwały, miałem karmionego kukurydzą kurczaka, pół kostki masła, dwie cytryny i pęczek świeżego estragonu. W stojącej z boku misce leżało kilka główek czosnku. W szafce było trochę ziemniaków, które wypuszczały już pędy – ale po obraniu można będzie je pięknie upiec. Sałata, dressing, butelka krzepkiego cahors. Proste. Najpierw rozgrzać piekarnik. Wstając od biurka, myślałem o tego rodzaju przyziemnych sprawach. Pewien mój stary znajomy, dziennikarz, powiedział kiedyś, że rajem na ziemi jest przepracowanie w samotności całego dnia, w oczekiwaniu na wieczór, który spędzimy w miłym towarzystwie.

Moje myśli krążyły wokół posiłku, jakim miałem zamiar ją poczęstować, i tej prostej maksymy znajomego. Wchodząc do kuchni, nie zaprzątałem sobie głowy Adamem. Dlatego doznałem szoku, gdy zobaczyłem, że stoi nagi przy stole, częściowo odwrócony, i majstruje przy wystającym mu z pępka kablu. Drugą rękę trzymał przy podbródku, w zadumie go gładząc – bez wątpienia wynik działania sprytnego algorytmu, który całkiem przekonująco wywoływał jednak wrażenie osoby zamyślonej.